

WOJCIECH KULAWSKI

Meksykańska hekatomba

Prolog

Tim Mayer poczuł, jak po policzkach spływają mu łzy, które natychmiast wsiąkają w gęsty pył pokrywający skórę. W ciemności nie mógł niczego dostrzec. Zrozpaczony padł na ziemię i zajrzał w szczelinę, w której leżał najprawdopodobniej martwy już przyjaciel.

– Pomóż mi – krzyknął. – Jak mam się stąd wydostać?

Niestety odpowiedziała mu tylko cisza. Poczul nieprzyjemny zapach wydzielany przez kobiece zwłoki, które leżały w szczelinie od jakiegoś już czasu. Zastanawiał się, co mógłby w obecnej sytuacji zrobić. Rozpacz, podniecana przez otaczającą ciemność, zdawała się wypełniać każdą komórkę ciała. Aby zrekompensować brak bodźców wzrokowych, mózg Meyera generował halucynacje. Mężczyźnie zdawało się, że widzi maleńkie wirujące światła, które szybko spadały, by po chwili ponownie się wznieść. Przetarł zażawione oczy i ponownie je otworzył. Otaczała go ciemność, która zdawała się oblepiać skórę niczym gęsta smoła.

Powoli tracił nadzieję na ocalenie, oswajał się z myślą, że za chwilę po prostu położy się na ziemi i poczeka spokojnie na śmierć. Wtedy zdał sobie sprawę, jak bardzo bolesne i długotrwałe byłoby podobne konanie. Organizm bez wody wytrzymuje od czterech do maksymalnie siedmiu dni. Najpierw przyspiesza akcja serca, potem przychodzi gorączka, spowalniają procesy myślowe i metabolizm. Ostatecznie kończy się na drgawkach i utracie przytomności.

Z makabrycznych wizji wyrwała go genialna myśl. Przyłgnął do ziemi i wymacał w szczelinie ogromne tipsy przymocowane do paznokci martwej kobiety. Chciał je oderwać, jednak te ani myślały odłączać się od ciała właścicielki. Klej używany do mocowania sztucznych paznokci był niezwykle mocny. W tej chwili Tim przypomniał sobie, jak któregoś dnia Laura przyszła od manikiurzystki i zaprezentowała mu piękne długie tipsy, ozdobione misternymi motywami kwiatowymi. Otrząsnął się ze wspomnienia, bo zdał sobie sprawę, że ma tylko jedno wyjście: musi wyrwać tipsy razem z paznokciami. Poczul mdłości na samą myśl o tym, że miałby zbezczęścić zwłoki. Ale czy istnieje inny sposób? Przełamał obrzydzenie i oderwał paznokieć od palca. Skrzywił się, kiedy usłyszał odgłos rozrywanej skóry. Choć nie mógł tego zobaczyć, wyobraźnia podsuwała obrazy niczym z najgorszych horrorów.

Trzymając w ręku tipsa, poczuł, jak odżywa w nim nadzieja na wydostanie się ze śmiertelnej pułapki.

Rozdział 1

Widok z Urzędu Miasta Phoenix, w stanie Arizona, rozciągający się z dwunastego piętra budynku sprawił, że John Gizrom poczuł się nieco mniej spięty. Był wysokim, szczupłym czterdziestotrzylatkiem o siwiejących włosach i przyprawiającym go o dumę orlim nosie, który stał się jego znakiem rozpoznawczym.

W przeciwieństwie do tych wszystkich ulizanych, odlanych z jednej foremki chłoptasiów, którzy nie mieli żadnych skrupułów, aby po trupach kolegów wspiąć się choćby o jeden szczebel politycznej kariery, John Gizrom miał własne zasady i – co jest nie mniej ważne – własną twarz. Nosił garnitur w kolorze grafitowym, który w zeszłym tygodniu odebrał od starego Wyclefa. Krawiec szył ubrania od przeszło pięćdziesięciu lat – i robił to naprawdę dobrze.

Nowy szef Biura Badań i Rozwoju CIA sprawował swój urząd dopiero od trzech miesięcy. Czuł się przytłoczony ilością i przede wszystkim rangą spraw, którymi musiał się zajmować. Jako biolog molekularny, pracujący w instytucie badawczym w Waszyngtonie, miał w zwyczaju koncentrować się głównie na jednym zadaniu. Praca nad setkami tematów – i to w tym samym czasie – sprawiała, że już od godziny dziesiątej bolała go głowa. Prezydent Stanów Zjednoczonych po wstąpieniu na urząd chciał mieć przy sobie zaufanych ludzi. A z Johnem Gizromem znali się jeszcze z czasów studenckich.

John długo zastanawiał się, czy przyjąć nową pracę, ostatecznie uznał, że drugiej takiej szansy może już nigdy nie dostać. Każdego dnia żałował swojej decyzji i zadawał sobie pytanie, dlaczego się zgodził. Ostatecznie poprosił prezydenta o asystenta, który pomógłby mu sprawować urząd przez pierwsze miesiące. Nie spodziewał się jednak, że tym pomocnikiem okaże się atrakcyjna, rudowłosa Waleria Stewart. Kobieta miała prawie metr osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Długie, umięśnione nogi, niczym u sportowca uprawiającego biegi przełajowe, przykuwały uwagę, tym bardziej że dziewczyna dość często miała w zwyczaju je eksponować. Malowała usta czerwoną szminką, co wraz z długimi rudymi włosami sprawiało, że wyglądała niezmiernie. Jakby pochodziła z innej planety. Piegi na niewielkim nosie były tylko dopełnieniem jej nieco baśniowej urody. John nie omieszkiał zapytać prezydenta, dlaczego przydzielono mu taką właśnie asystentkę.

– Bo jest najlepsza – usłyszał krótką odpowiedź.

Niemniej Gizrom martwił się, jak na piękną asystentkę zareaguje jego żona, z którą obchodził właśnie piętnastą rocznicę małżeństwa.

Siedzieli z Walerią w obszernym gabinecie i czekali na przedstawiciela meksykańskiego CISEN. Sprawa, z którą John został wysłany do placówki CIA w Arizonie, była dość delikatna. Należało w sposób uprzejmy, ale stanowczy, wycofać się z umowy z rządem Meksyku zawartej ponad dwadzieścia cztery lata temu. John zastanawiał się, jak powinien przeprowadzić tę rozmowę. Od tygodnia wizualizował sobie jej przebieg, jednak żaden ze scenariuszy nie kończył się zgodnie z jego oczekiwaniami. Co sobie wyobrażał, przyjmując tę pracę? Liczył, że z cichego i zamkniętego w sobie naukowca, spędzającego większość czasu przed mikroskopem, nagle zamieni się w lwa salonowego, który stanie w szranki z wyjadaczami ćwiczącymi się w mowie od dziesiątek lat?

W pewnym momencie sekretarka wprowadziła do pomieszczenia wysokiego, postawnego mężczyznę koło pięćdziesiątki. Miał ciemną karnację, typową dla większości mieszkańców Meksyku. Na pierwszy rzut oka ciężko było powiedzieć, czy jest muskularny, czy po prostu gruby. Bo choć garnitur opinał korpulentne ciało, to jego twarz była pociągła. Zdobiły ją spory nos, sumiaste wąsy i bruzdy, z których można było niemal wyczytać burzliwą przeszłość mężczyzny.

– Generał Gabriel Mendoza – przedstawił się Meksykanin.

John uśmiechał się w duchu za każdym razem, kiedy słyszał imię i nazwisko szefa CISEN, który nazywał się dokładnie tak samo jak znany chilijski piłkarz. Ucisnął dłoń mężczyzny, po czym przedstawił mu Walerię. Kobieta skinęła głową i uśmiechnęła się zalotnie, poprawiając, niby od niechcienia, długie rude włosy. Mendoza, niewzruszony jej staraniami, ruszył do niewielkiego stolika stojącego w głębi sali konferencyjnej.

– Nie ma pana Collinsa? – zapytał.

– Od pewnego czasu ja go zastępuję – odpowiedział John.

– A faktycznie. Wybory prezydenckie – bąknął wojskowy, po czym usiadł na krześle.

– Dziwne miejsce wybraliście na spotkanie.

– Chcieliśmy, aby było ono blisko granicy z Meksykiem. To ukłon w waszą stronę.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni – powiedział generał z ironią w głosie. – I jeśli można, chciałbym rozmawiać w cztery oczy – dodał, wskazując na Walerię Stewart.

– To zaufany człowiek – nie ustępował John.

– Nalegam – powiedział Mendoza z emfazą.

John skinął głową na Walerię, która wolno i ostentacyjnie opuściła pomieszczenie. Ubrana w czerwoną obcisłą sukienkę, kręciła zalotnie biodrami, chcąc zwrócić uwagę mężczyzn. Generał ani razu nie spojrzał jednak w jej stronę. Gdy tylko asystentka opuściła

gabinet, odchrząknął z zadowoleniem. Od pewnego czasu chodziły plotki, że Mendoza widziany był na mieście w towarzystwie innego mężczyzny.

– Przejdźmy do sedna sprawy – powiedział Meksykanin, zwracając twarz w stronę Gizroma, który nadal stał, patrząc przez okno. – Dlaczego chcecie zakończyć projekt Genius?

– Zdaniem prezydenta i dyrektora CIA projekt nie przyniósł oczekiwanych rezultatów – zaczął John. Wielokrotnie ćwiczył początek swojego przemówienia przed lustrem. Starał się sprawiać wrażenie twardego i zdecydowanego. Niestety po chwili zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie opanować drżącego głosu, który zapewne zdradzał jego strach.

– Na litość boską. Dwadzieścia pięć lat badań. Tęcza materiałów, które cyklicznie przesyłaliśmy do Waszyngtonu. Setki zaangażowanych osób, czy to mało? – zapytał Mendoza.

– Gdy rozpoczynaliśmy pracę nad projektem, przyświecała nam światła idea. Nie chcieliśmy, aby komukolwiek stała się krzywda. Nikt nie przewidział skutków ubocznych – ciągnął John.

– Czy ktokolwiek cokolwiek wiedział? – zapytał generał. – Byliśmy zgodni co do tego, że musimy ukryć działania podejmowane w ramach projektu Genius przed oczami opinii publicznej. I dochowaliśmy wszelkich zasad bezpieczeństwa. Wybraliśmy Meksyk, bo tutaj łatwiej było zatuszować ewentualne problemy. Zbudowaliśmy bazę blisko granicy ze Stanami Zjednoczonymi. Wszystko zgodnie z planem. I teraz nagle się rozmyśliliście?

– Spójrzmy na sprawę obiektywnie. Co przez te dwadzieścia pięć lat osiągnęliśmy? – rzucił John prowokacyjnie.

– Spisaliśmy wzorce kilku tysięcy epigenomów rządzących zasadami aktywacji genów. Czy to mało? – bąknął Mendoza, spoglądając w oczy Amerykanina dłużej, niż wymagałoby tego etykieta.

– Ilu epigenomów nam jeszcze brakuje? Miliona? Biliona? – zapytał John, który podejmując zagadnienie związane z genetyką, poczuł się dużo pewniej. – Ile dzieci będzie musiało jeszcze zginąć, abyśmy zbadali przynajmniej najbardziej istotne układy epigenomów?

W tym momencie generał zacisnął usta. Zdał sobie sprawę, że w sporze na argumenty naukowe nie dotrzyma naukowcowi kroku.

– Nawet nie potrafimy oszacować wielkości czynników oddziałujących na aktywację genów. Dwadzieścia pięć lat temu cały świat sądził, że po opracowaniu mapy genomu człowieka genetyka rozwinię się w jedną z najważniejszych nauk. Niestety dziś wiemy, że tamten optymizm był zbyt daleko idący. Natura nie da nam tak łatwo odkryć zasad, które

tworzyła przez miliardy lat. Projekt Genius może potrwać jeszcze sto albo dwieście lat, a i tak nie spełni pokładanych w nim nadziei. Chciałbym też zaznaczyć, że nie jest to tani projekt.

– Nie możemy zaprzepaścić tak wielu lat rozwoju nauki. Ludzkość nam tego nie wybaczy. – Ponieważ Mendoza nie miał konstruktywnych argumentów przemawiających na jego korzyść, postanowił zagrać na nutę litości. Był zbyt doświadczony, aby nie zdawać sobie sprawy, że nie będzie w stanie wiele osiągnąć w tej rozmowie. Trzęsący się przed nim człowiek był jedynie posłańcem złej nowiny. Nie został uprawniony przez szefa CIA i prezydenta USA, aby prowadzić negocjacje.

– Niestety, decyzje już zapadły – powiedział John, jakby czytał w myślach generała. – Kończymy finansowanie tego przedsięwzięcia. Do końca roku macie posprzątać po projekcie Genius. Nasi ludzie pracujący w stacji badawczej będą stopniowo odwoływani, tak aby do końca roku nikogo z naszych w Meksyku już nie było. I bardzo proszę o dyskrecję. Nie chcemy żadnego rozgłosu.

– Nie pozwolimy na zakończenie eksperymentu. Sami będziemy go finansowali – wypalił Mendoza.

John podszedł do generała bliżej i spojrzał na niego z góry.

– Nie rozumiem waszego uporu – powiedział po przyjacielsku. – Przecież każdy rozsądnie myślący naukowiec widzi, że ten projekt nie ma perspektyw. Chyba że jest coś, o czym nam nie powiedzieliście – dodał John.

– Niczego przed wami nie ukrywamy. Raporty są rzetelne i zgodne z prawdą – powiedział Mendoza. Wstał, skrzyżował ręce na piersi i spojrzał groźnie na Johna.

– Jeśli tak, to wiecie równie dobrze, jak my, że projekt Genius prowadzi donikąd. Chyba że prowadzicie jakieś własne badania, o których nas nie informujecie.

– Nie ufacie nam? – zapytał generał.

– Nasi ludzie donoszą, że od pewnego czasu część informacji naukowych opracowywanych w podziemnej stacji jest dla nich niejawna. Część naszych naukowców została przez was przesunięta do mniej istotnych zadań.

– Wszystkie te ruchy wynikały z bieżących potrzeb – tłumaczył generał. Odwrócił się na pięcie niczym podczas musztry i ruszył wzdłuż okien. Spoglądał na budynki miasta Phoenix widoczne z góry, jakby upatrywał w nich wybawienia. – Wprowadzimy waszych ludzi na wszystkie istotne stanowiska.

– To niczego nie zmieni. Decyzja o zamknięciu projektu jest nieodwołalna...

– Chcecie ochłodzić stosunki między naszymi krajami?

– Spójrzcie, co dzieje się na ulicach waszych miast – ciągnął John. – Gangi narkotykowe opanowały cały kraj. W przeciągu ostatnich kilku lat zginęło prawie pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nie radzicie sobie z przestępczością zorganizowaną. Nie jesteście w stanie zagwarantować bezpieczeństwa krajowi, więc jak chcecie zapanować nad projektem Genius. Przyznajcie to – rzucił prowokacyjnie. Mimo początkowych obaw teraz czuł się nad wyraz dobrze. Zastanawiał się nawet, czy niesiony falą emocji nie pofolgował sobie zbyt w argumentacji. Przedyskutował jednak wcześniej z szefem, jak daleko może się posunąć podczas rozmowy z Mendoza. Od początku czuł, że konsekwencje tego spotkania mogą mieć znaczący wpływ na stosunki amerykańsko-meksykańskie.

– To prawda. Mamy pewien kłopot z eskalacją przemocy w kraju, ale wydaliśmy bezwzględną wojnę kartelom narkotykowym – tłumaczył Mendoza, po którym widać było, że całkowicie stracił rezon.

– Najwyraźniej bezskutecznie. Przekazuję raz jeszcze stanowisko moich zwierzchników. Projekt Genius do końca roku ma zostać zakończony.

– A co z waszą agencją DEA? – wymamrotał Mendoza. – Mieliście pomagać nam z przestępczością zorganizowaną związaną z przemytem narkotyków do waszego kraju.

– Przekazujemy wam zarówno środki, jak i pieniądze na walkę z kartelami narkotykowymi. Tylko co z tego? Po aresztowaniu szefa jednego z karteli pozostałe grupy natychmiast wypełniają brakującą przestrzeń. To niczym walka z wiatrakami.

– Planujemy frontalny atak – przekonywał generał. – Musimy jedynie namierzyć wszystkich przywódców.

Mendoza wyczuł, że niczego więcej nie wskóra. Jego argumenty nawet dla niego samego zaczęły brzmieć śmiesznie. Odwrócił się na pięcie i nie pożegnawszy się z Amerykaninem, opuścił pomieszczenie. John stał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, w jakim świetle przedstawić raport z rozmowy z przedstawicielem CISEN. Wbrew pozorom cieszył się, że ma ją już za sobą. I co najważniejsze, był zadowolony ze swojej postawy. Jedno nie ulegało wątpliwości. Należało zakończyć szopkę związaną z projektem Genius. I lepiej było narazić się meksykańskiemu rządowi, niż potem tłumaczyć się przed całym światem, gdyby prawda wyszła na jaw.

Kilkanaście sekund po tym, jak szef CISEN opuścił biuro, do pomieszczenia zajrzała Waleria Stewart. Oparła się o framugę i spojrzała zawiadaczająco na Johna.

– Jak było? – zapytała.

– Siadaj, opowiem ci – odpowiedział. – Obawiam się dalszych kroków, jakie mogą przedsięwziąć Meksykanie. Mendoza wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Co mogą zrobić?

– Nie wiem i dlatego jestem pełen obaw – rzucił Gizrom, drapiąc się po brodzie.

Rozdział 2

Tim Meyer zażywał kąpiele słonecznych, popijając drinka o egzotycznej nazwie Laguna. Postawił szklankę na stoliku i wyregulował pozycję leżaka, aby widzieć, co dzieje się po drugiej stronie basenu. Hotel Mesaluna, położony w okolicach meksykańskiego miasta Ciudad Juárez, był spełnieniem marzeń archeologa, który od kilku już lat planował wycieczkę po najświetniejszych zabytkach starożytnych plemion Mezoameryki. Turystyczny kompleks, leżący kilka kilometrów od miasta, składał się z czterech wysokościowców i kilku pomniejszych budynków rozciągniętych na kilkuhektarowym obszarze. Były tam restauracje, place zabaw dla dzieci, a nawet aquapark. Nieco dalej znajdował się teren zielony, porośnięty drzewami i krzewami, którego właścicielem było wojsko. Niecały kilometr od budynków hoteli przebiegała linia kolejowa. Z niewielkiego peronu można było małymi wagonikami, kursującymi co pół godziny, dostać się do miasta.

Inicjatorem wyjazdu do Meksyku był Dario Argento, przyjaciel Tima z Bernisches Historisches Museum, który namówił archeologa na wycieczkę last minute. Mężczyzna był rozwodnikiem i drugi już rok leczył zranioną duszę po rozstaniu z żoną. Wysoki, dobrze zbudowany, z krótkimi blond włosami i małą bródką nie mógł narzekać na brak zainteresowania płci pięknej.

– Jaki mamy plan na jutro? – zapytał Dario, dopijając drinka. Jako że był to już czternasty trunek z zawartością procentów tego dnia, czuł się dobrze wstawiony. Opcja all inclusive sprawiała, że archeolodzy chętnie korzystali z hotelowego baru, oferującego wynalazki, których na co dzień nie mieliby okazji spróbować.

– Wybierzemy się do Museo de Arqueologia El Chamizal. Chciałbym obejrzeć eksponaty związane ze starożytnymi kulturami Olmeków, Zapoteków i Majów – stwierdził Tim.

Myślami wrócił do wydarzeń sprzed kilku dni. Decyzja o wyjeździe do Meksyku została podjęta spontanicznie, pod wpływem impulsu. Gdy przyjaciele byli po kilku piwach, po prostu udali się do biura podróży i zarezerwowali wycieczkę. Tim nie zapomniał o rezerwacji miejsca również dla ukochanej Laury. Bez większego problemu załatwił sobie urlopy w pracy. I wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie małe spięcie z narzeczoną.

– Jak mogłeś wykupić wycieczkę do Meksyku? Wiedziałaś przecież, że całe życie marzyłam o Nowej Zelandii – rzuciła poirytowana Laura. Była równie wysoka, jak Tim – i na tym podobieństwa się kończyły. Archeolog miał daleko postępujące zakola, a reszta włosów

tworzyła artystyczny nieład. Wystający brzuszek starał się markować luźnymi koszulami, na szpiczastym nosie zatknięte miał okulary, które dodawały mu powagi, choć ze względu na niewielką wadę wzroku wcale nie musiał ich nosić. Do tego wszystkiego miał chude, patykowate nogi, nieproporcjonalne do tułowia. Natura poskąpiła mu wyglądu amanta, na szczęście zrekompensowała braki w postaci bystrego analitycznego umysłu.

Laura Cologne, nauczycielka matematyki, była niezwykle piękną kobietą. Proste brązowe włosy, sięgające za ramiona i jasna cera oraz drobny nos sprawiały wrażenie, jakby była porcelanową lalką, a nie kobietą z krwi i kości. I tylko charakter Laury nie pasował do jej wyglądu. Po ojcu, profesorze Bertrandzie Cologne'u, odziedziczyła upartość, zaciętość i hart ducha.

– Nie uwzględniłeś również, że nie będę w stanie załatwić sobie w szkole zastępstwa – kontynuowała Laura.

– Kochanie, może zapytasz Adę, czy cię nie zastąpi. – Tim dopiero teraz zrozumiał, że chyba zbyt pociągnął się z zakupem wycieczki.

– Mam wrażenie, że nie uwzględniasz moich potrzeb – powiedziała z wyrzutem.

– Misiaczkule, staram się je uwzględniać – tłumaczył łagodnie Tim.

– To wymień, w jaki sposób to robisz – prowokowała kobieta.

Archeolog usilnie próbował przypomnieć sobie wydarzenia z ostatnich kilku miesięcy.

– No, na przykład przyjeżdżam po ciebie do pracy – bąknął.

– Bo masz po drodze – wymamrotała. – Wymień coś, co zrobiłeś tylko dla mnie.

– Kolację wczoraj?

– Kanapki z salami, którego nie lubię, zrobiłeś głównie dla siebie.

– Przepraszam – powiedział skruszony Tim. – Poprawię się.

– Jedź na te swoje wakacje do Meksyku – fuknęła Laura. – Jak wrócisz, zastanowimy się, co zrobić z naszym związkiem.

W tym momencie Tim poczuł, jakby spadło na niego przęsło mostu Sunniberg mające sto czterdzieści metrów wysokości.

– Czy to znaczy, że z nami koniec? – wymamrotał.

– To znaczy, że to jest test naszego związku – powiedziała Laura.

Tim miał swoją godność i nie zamierzał kajać się przed partnerką. Obdarował ją wymuszonym uśmiechem, po czym zgodził się z propozycją.

– Jeszcze za mną zatęsknisz – powiedział pod nosem, licząc, że Laura go nie usłyszy.

– Ciekawe, kto za kim zatęskni. – Kobieta zawsze chciała mieć ostatnie zdanie.

Tim był na tyle uparty, że nie tylko pojechał z kolegą na wakacje, ale postanowił sobie, że w żadnym wypadku nie odezwie się do Laury jako pierwszy. I tylko gdzieś z tyłu głowy dręczyły go wyrzuty sumienia, że leży teraz w pięknym meksykańskim słońcu i raczy się drinkami, kiedy tymczasem Laura siedzi w klasie z rozwrzeszczaną grupą młodzieży, próbując wbić im do głowy podstawową wiedzę na temat rozwiązywania równań matematycznych.

Tim wrócił myślami do hotelowego basenu. Jego uwagę zwrócił jakiś Meksykanin szarpiący młodą kobietę. Trzymał ją za rękę i wykrzykiwał coś po hiszpańsku. I choć kilku turystów siedziało przy stolikach wokół basenu, żaden z nich nie zareagował na kłótnię. Dario spojrzał wymownie na Tima, dając mu do zrozumienia, że chyba powinni zainterweniować.

Mężczyźni podnieśli się z leżaków, odstawili drinki na stolik i delikatnie się zataczając, ruszyli w stronę zwaśnionej pary. Dopiero teraz zauważyli, że kobieta do złudzenia przypominała Salmę Hayek, słynną meksykańską aktorkę. Kręcone czarne włosy i ciemna karnacja sprawiały, że dla bladych Szwajcarów była niezwykle egzotyczna i pociągająca. Miała białe zęby i usta pomalowane czerwoną szminką oraz nieziemską wprost figurę.

Mężczyzna miał wygląd typowego meksykańskiego macho. Miał koło pięćdziesiątki, krótkie siwiejące włosy i muskularną sylwetkę. Ubrany był w białą koszulę i szorty, a na nogach nosił japonki z amerykańską flagą. Na jego lewym policzku widoczna była sporych rozmiarów blizna.

– Co się tu dzieje? – zapytał Tim po angielsku, ponieważ jego hiszpański był na poziomie przedszkolaka.

Mężczyzna spojrzał na dwójkę Szwajcarów z wyższością, jakby byli karaluchami, które należało jak najszybciej rozgnieść. Kobieta wykorzystała interwencję Tima i Daria i uwolniła się z uścisku napastnika. Nie chcąc pozostawać mu dłużną, natychmiast przystąpiła do frontalnego ataku. Biła Meksykanina pięściami, wykrzykując coś po hiszpańsku.

Mocno wstawiony Dario spojrzał na Tima ze zdziwieniem, po czym odwrócił się w stronę pary.

– Proszę się uspokoić – wymamrotał. Był nieco skonfundowany, ponieważ podszedł do pary z zamiarem ratowania przedstawicielki słabszej płci przed brutalną męską siłą. Teraz jednak zgłupiał, nie do końca wiedząc, komu należy się w obecnej sytuacji pomoc.

Kobieta niewiele robiła sobie z obecności Szwajcarów i nadal wymierzała ciosy mężczyźnie. Ten bronił się, odparowując coraz to mocniejsze razy.

Na twarzy Tima wymalowało się zdumienie. Mieli już dać sobie spokój i zostawić parę samą sobie, kiedy nieoczekiwanie poirytowany Meksykanin złapał kobietę za przeguby dłoni i wygiął je tak mocno, że ta zmuszona była uklęknąć.

Dario natychmiast zareagował. Wyrwał dziewczynę z uścisku macho i odciągnął na bok. Tim stanął pomiędzy zwaśnionymi, uniemożliwiając im kontakt.

Wściekła kobieta wzdrygnęła się, bo nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Czy mam wezwać policję? Albo straż hotelową? – zapytał Dario po angielsku.

Dziewczyna spojrzała na Szwajcarów i rozpoczęła tyradę przekleństw w języku angielskim. Zapewne gdyby mówiła po hiszpańsku, jej repertuar inwektyw byłby dużo bogatszy.

– Wy pierdolone świnię. Zostawcie nas w spokoju – mówiła, atakując Daria pięściami.

Tim zareagował natychmiast. Złapał kobietę w kleszcze, aby nie mogła się poruszać.

– Proszę się uspokoić, bo wezwę ochronę hotelu – mówił.

– Czy w tym kraju nie można już w spokoju pokłócić się z własnym chłopem? – krzyczała. – Pierdolone europejskie łajzy. Dajcie nam święty spokój. Jeśli mój chłop będzie chciał mnie zatłuc, to i tak nic go nie powstrzyma.

– Mamy sobie odejść? – zapytał zdziwiony Dario, zwracając się tym razem w stronę Meksykanina.

– Jestem Rodriguez Rivera – uklonił się mężczyzna. – Proszę nam wybaczyć. Takie kłótnie to u nas normalna sprawa – powiedział po angielsku. – To pozwala nam rozładować stres. Zwykle jak damy sobie po razie, kończymy w łóżku namiętym seksem.

– Ja jestem Dario Argento, a to Tim Mayer – powiedział kompletnie zaskoczony Szwajcar.

– Jeśli tak. To nie przeszkadzamy – dodał archeolog, puszczając kobietę, która natychmiast przyłgnęła do muskularnego torsu Rodrigueza. Para przytulała się przez chwilę, aby ostatecznie połączyć się w namiętym pocałunku.

– Rozumiesz coś z tego? – zapytał Dario, zwracając się w stronę Tima.

– Chyba nie dość dobrze przestudiowaliśmy panujące tu obyczaje. Najwyraźniej lokalne pary są bardzo emocjonalne. Chodźmy się lepiej napić – zdecydował Tim i ruszyli w stronę basenowego baru.

– Nie szkoda ci, że Laury tu nie ma? – zapytał Dario, zamawiając u barmana drinka.

– Te dwa tygodnie mają być dla nas próbą. Może lepiej rozstać się teraz, kiedy nie mamy dzieci, ślubu i zobowiązań.

– Przecież ty ją kochasz. W życiu nie widziałem cię takiego szczęśliwego.

– Ta separacja to jej pomysł, choć sprowokował ją do tego nasz wyjazd do Meksyku. Chyba faktycznie powinienem był najpierw zapytać Laury o zdanie, zanim zarezerwowałem wycieczkę.

– Przepraszam, to ja cię namówiłem na tę przygodę. Od dwóch lat jestem sam i przywykłem, że nie muszę nikogo pytać o zgodę. Jeśli mam ochotę gdzieś pojechać, po prostu to robię.

Tim tylko westchnął, odbierając od barmana drinka w kolorze różowym.

Rozdział 3

Nazywał się Jan Matjas, tak samo jak młody, uchodzący za rarytas śledź, łowiony niegdyś przez holenderską flotę rybacką. Podobno był Polakiem. Od urodzenia przechodził szkolenia na programistę Zjavy. Jego specjalizacją były algorytmy genetyczne oparte na sztucznej inteligencji, które z czasem stały się celem jego egzystencji. Leżał w łóżku i patrzył w sufit, nie mogąc zasnąć. Tętno miał przyspieszone, a po głowie kołatały się setki myśli związanych z jutrzejszym wydarzeniem. Chłopak był, jak na swój wiek, wysoki i dobrze zbudowany, choć jego ciało nie przestało jeszcze rosnąć. Mały nos i wąska broda uwydatniały niebieskie, głęboko osadzone, inteligentne oczy. Miał wystrzyżone na jeża brązowe włosy. Tak było najwygodniej. Rzadko zdarzał się uczeń, który nosiłby inną fryzurę.

– Wyczuwam stan podwyższonego napięcia – powiedział komputer z głośników zamontowanych w suficie. – Proszę zażyć tabletkę.

Czternastolatek podniósł się z łóżka, podszedł do automatu stojącego przy ścianie, odebrał małą białą pigułkę i połknął, przepijając wodą z kubeczka.

Zdawał sobie sprawę, że musi być jutro wypoczęty. Na ten dzień czekał w końcu całe swoje życie. Na szczęście po zażyciu tabletki sen nadszedł szybko. Zegarek zamontowany na przedramieniu chłopaka trzy razy w ciągu nocy wysyłał informację do centralnego komputera, aby ten zmniejszył temperaturę w pokoju. Chodziło o zapewnienie Janowi optymalnych warunków do odpoczynku przed ciężkim dniem.

O godzinie szóstej elektryczny budzik uruchomił melodię walca Johanna Straussa syna. Na początek cicho, później nieco głośniej.

– Dzień dobry. Badanie krwi – rozległ się elektroniczny głos.

Wstał i podszedł do automatu. Nacisnął czerwony przycisk i poczuł delikatne ukłucie. Kilka minut później na ekranie ujrzął tabelkę z wynikami.

– Chlorki poniżej normy, zmniejszam spożycie soli w pokarmach – powiedział automat. Chwilę później z otworu na dole wyskoczyło wysoko energetyczne, idealnie zbilansowane śniadanie, które składało się z jajek i tostów.

Janek zdołał tylko pomyśleć, że bez soli jedzenie będzie jeszcze bardziej ohydne niż dotychczas. Umył się w maleńkiej łazience umiejscowionej w rogu pokoju, a następnie podszedł do automatu, aby odebrać sztućce i tacę z jedzeniem. Usiadł przy stole i zaczął spożywać śniadanie.

– Proszę pamiętać o wolnym jedzeniu i dokładnym gryzieniu. W przeciwnym razie pokarm nie zostanie dokładnie przyswojony – poinformował komputer.

– Jasne – mruknął Janek. Od pewnego czasu czuł się coraz gorzej. Nie poinformował o tym ani opiekuna, ani osoby z obsługi technicznej ośrodka. Najwyraźniej nie było to nic poważnego, bo okresowe badanie krwi nie wykazało żadnych anomalii. Może w ten sposób jego organizm reagował na okres dojrzewania albo na stres związany z egzaminami? Leon i Tomasz, koledzy z jego klasy, również skarżyli się na bóle głowy. Nie mówiąc o Bernardzie, który został ostatnio zabrany do szpitala.

Po posiłku ubrał się w jednoczęściowy uniform z napisem poniedziałek, po czym stanął przy drzwiach wyjściowych. Po przyłożeniu siatkówki oka do czujnika drzwi się otworzyły. Idąc korytarzem, gestem dłoni pozdrawiał uczniów wychodzących ze swoich pokoi. Ze względu na ryzyko przenoszenia bakterii zabronione było bezpośrednie dotykание innych chłopców i osób z personelu ośrodka. Kilkunastoosobową grupką udali się w stronę dużego pomieszczenia, w którym każdy zajął swoje miejsce. W ciszy oczekiwali na odprawę. Kilka minut później pojawił się mężczyzna w czarnym uniformie, który stanął na podwyższeniu i spojrzał na zebranych. Był szczupły i miał długie palce dłoni. Nosił brodę i okrągłe okulary. Kąciki jego ust nieustannie opadały, przez co można było odnieść wrażenie, że ciągle jest smutny. Zresztą taką właśnie ksywkę nadali mu uczniowie.

– To dla was ważny dzień – zaczął Smutny. – Przystąpicie dziś do egzaminu, który potwierdzi waszą użyteczność dla naszej społeczności. Pamiętajcie, że tylko najlepsi zasila zespoły projektowo-programistyczne wyższego szczebla. Przez całe wasze życie przygotowaliśmy was do tego dnia. Stworzyliśmy idealne warunki zarówno dla ciała, jak i umysłu, abyście mogli oddać się wyłącznie nauce. Pamiętajcie, że pokładamy w was wielkie nadzieje.

Zebrana młodzież wstała i nagrodziła przemówienie mężczyzny gromkimi brawami. Smutny gestem dłoni uspokajał wszystkich, dając im do zrozumienia, że jeszcze nie skończył.

– A teraz zgodnie z numeracją pójdziecie do pokoi, w nich sprawdzimy wasze umiejętności w dziedzinach, do których byliście przygotowywani.

Po skończonej przemowie, zszedł z mównicy i pomagał młodzieży zająć miejsca przy właściwych drzwiach.

Janek czekał, aż odczytają jego numer. Serce biło mu jak oszalałe, dłonie się pocily. Nigdy jeszcze tak wiele nie zależało od jednego egzaminu. Usprawiedliwiał się w duchu, że zrobił absolutnie wszystko, co mógł, aby dobrze wypaść podczas tej próby. Przyglądał się innym chłopcom, którzy wyglądali na równie przestraszonych. Nikt nie rozmawiał, wszyscy skupieni byli na tym, co miało się za chwilę wydarzyć. W momencie kiedy Matjas został wyczytany, poczuł, jak przewraca mu się zawartość żołądka. Chłopak zachował jednak zimną

kręć, nie dając po sobie poznać zdenerwowania. Wstał z krzesła i wszedł za kobietą w kitlu do sporego białego pomieszczenia. Ujrzał dziwne urządzenie przypominające dentystryczny fotel, jednak dużo bardziej skomplikowane. Obudowane było monitorami podobnymi do tych, jakie widywał w szpitalu. Kobieta w białym kitlu, ze sztucznym uśmiechem wymalowanym na twarzy, poprosiła Matjasa, aby usiadł. Włożyła mu na głowę metalową obręcz, a do ciała przymocowała czujniki.

– Nie wystarczy mój zegarek? – zapytał chłopak.

– Musimy monitorować dużo więcej parametrów – odpowiedziała kobieta.

Automat rozpoczął zadawanie pytań, na które chłopak odpowiadał z prędkością błyskawicy. Po trzydziestu minutach komplikacja zagadnień znacząco wzrosła, Matjas nadal jednak odpowiadał przed czasem. W pewnym momencie komputer zaczął pytać o obszary niezwiązane z programowaniem i algorytmami sztucznej inteligencji. Chłopakowi przeszło przez myśl, że najwyraźniej egzamin, poza umiejętnościami czysto technicznymi, miał weryfikować zdolności mózgu do zapamiętywania i kojarzenia faktów. Ostatnia część testu wymagała od kandydata kreatywnego myślenia. Należało wykorzystać wiedzę zgromadzoną podczas tysięcy godzin ćwiczeń i wykładów, aby zaproponować program komputerowy, który byłby w stanie w najkrótszym możliwym czasie rozwiązać określony problem. Matjas dostał godzinę, aby opracować algorytm uczący lotu statku kosmicznego zmierzającego z Ziemi na Marsa.

Po skończonym teście Janek czuł się zmęczony, ale też zadowolony. Dał z siebie wszystko, a wynik testu, który ujrzał na ekranie, zaskoczył nawet jego samego.

– Znalazłeś się w dziesięciu procentach wybranych, którzy dostąpią zaszczytu zasilenia najznamienitszych zespołów programistów tworzących skomplikowane algorytmy sztucznej inteligencji na potrzeby naszej misji – powiedziała kobieta w kitlu.

Radość Janka była ogromna. W jednej chwili zdał sobie sprawę, że cały czas poświęcony na naukę nie poszedł na marne. Był dumny z siebie, że wreszcie zajmie się rozwiązywaniem prawdziwych problemów. Stanie się jednostką społecznie użyteczną. Odwdzięczy się za czternaście lat nauki, które w niego zainwestowano.

– Do końca dnia masz wolne – powiedziała kobieta w białym kitlu. – Jutro rano przyjdzie do ciebie twój opiekun i przedstawi ci twoje nowe zadania.

Rozdział 4

Tim Mayer i Dario Argento ucięli sobie popołudniową drzemkę. Wieczorem, wypoczęci i w świetnych nastrojach, udali się na kolację. Hotelowa restauracja serwowała gościom same rarytasy, na czele z burrito, trzema rodzajami zup, potrawką z kurczaka i tacos. Każde z dań było pikantne po meksykańsku, co tak naprawdę oznaczało piekielny płomień w ustach, którego niczym nie dało się ugasić. Archeologowie objadali się w najlepsze, kiedy do ich stolika podszedł Rodriguez, mężczyzna, którego rano próbowali przy basenie oddzielić od temperamentnej narzeczonej.

– Pozwolą panowie, że w ramach przeprosin zaproszę panów do naszego stolika – zaproponował.

Tim spojrzał na Daria, który delikatnie skinął głową.

Szwajcarzy ruszyli w kierunku przeciwległej strony jadalni, gdzie przy stoliku siedziała piękna kobieta o wyglądzie Salmy Hayek. Gładziła się palcem wskazującym w okolicach górnej wargi i nosa, jakby delectowała się zapachem perfum, który pozostał na skórze.

– Poznajcie proszę Fridę Acostę – przedstawił swoją partnerkę Rodriguez.

– Wybaczcie nam tę poranną scenę – powiedziała aksamitnym głosem dziewczyna. – Dość często z narzeczonym odreagowujemy w ten sposób stres. Meksykanie zwykle nie reagują na kłótnie kochanków. Dla Europejczyków tego typu sytuacje nie są normalne – tłumaczyła.

– Co tu robicie? – zapytał Rodriguez, rozsiadając się za stolikiem. Przywołał barmana i kazał przynieść wino.

– Jesteśmy Szwajcarami – powiedział Tim po angielsku. – Spędzamy tu wakacje. Możecie nam podpowiedzieć, co warto zwiedzić w okolicy Ciudad Juarez.

Do rozmowy włączyła się Frida, która opowiedziała płynną angielszczyzną o wszystkich miejscach wartych odwiedzenia. Po chwili do stolika podszedł kelner i przyniósł dwie butelki wina Giordano Barolo rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty ósmy. Kelner rozlał trunek do kieliszków i cała czwórka wzniosła toast za przyjaźń meksykańsko-szwajcarską.

Tim nie był znawcą win, jednak nawet on bez większego problemu zauważył, że zamówiony trunek musiał kosztować fortunę.

– A czym wy się zajmujecie? – zapytał. Ciekawiło go, co takiego robi Rodriguez, że stać go było na wino Giordano Barolo sprzed siedemdziesięciu lat.

– Jestem biznesmenem, a Frida jest moją ozdobą – zażartował Rodriguez. Zarówno Tim, jak i Dario zdążyli przez dwa dni pobytu w Meksyku przywyknąć do nieco dziwnego zachowania się tutejszych mężczyzn, których obowiązywała kultura macho.

Wino smakowało niczym niebiańska ambrozja. Z każdym łykiem Tim kalkulował, czy wypił właśnie pięć, czy może dziesięć tysięcy meksykańskich peso.

– W Ciudad Juarez polecam Monumento a la Mexicaneidad. To wielki czerwony znak X widoczny z wielu kilometrów. A najlepsza ze wszystkiego jest restauracja – tłumaczył Rodriguez.

– Słyszałem o tej atrakcji – wtrącił Dario.

– Uwielbiam zajadać się smażonymi krewetkami i obserwować miasto z wysokości – mówił Meksykanin.

– Pewnie się tam wybierzemy – stwierdził Tim, spoglądając na przyjaciela. Upił łyk wina i zerknął na Fridę, która poprawiała makijaż.

Wypili tego wieczoru jeszcze trzy butelki drogiego wina. Piękna Frida nie wylewała za kołnierz i bez większego problemu dotrzymywała kroku mężczyznom. Tim, choć starał się być dyskretny, nie mógł się powstrzymać od zerkania od czasu do czasu na dziewczynę. Miała na sobie obcisłą czerwoną sukienkę, uwydatniającą ponętne kształty. Mayer czytał w przewodniku, że meksykańscy mężczyźni nie lubią, kiedy patrzy się na ich kobiety. Czują się wówczas zagrożeni i zazdrośni. A archeolog w żadnym wypadku nie chciał narazić się Rodriguezowi. Doszedł do wniosku, że Frida ma w oczach jakiś dziwny, nieokreślony smutek i pretensję. Trudno było powiedzieć, czy był to efekt porannej kłótni z narzeczoną, czy może przyczyna leżała zupełnie gdzie indziej.

Koło drugiej w nocy cała czwórka rozeszła się w dobrych nastrojach do pokoi. Tim spodziewał się rano ogromnego kaca.

Wstali o godzinie dziesiątej, aby zdążyć na śniadanie serwowane przez restaurację hotelową do godziny jedenastej. Męczył ich lekki kac, przynajmniej jak na ilość wina, które wczoraj wypili. Najwyraźniej szlachetny trunk musiał zawierać niewielkie ilości szkodliwych siarczanów.

– Wiesz, ile kosztowało to wino, które wczoraj piliśmy? – zapytał Dario, kiedy mężczyźni jedli śniadanie.

– Nie wiem, ale domyślam się, że było drogie.

– Najmniej dwieście pięćdziesiąt euro za butelkę.

Tim zagwizdał, a potem wgryzł się w croissanta, który był idealnym posiłkiem dla steranego alkoholem żołądka Szwajcara.

– Co na dziś planujemy? Nie mam siły na zwiedzanie – wypalił Dario.

Choć Mayer chciał odwiedzić kilka miejsc w okolicach Ciudad Juarez, jego ciało przystało na propozycję kolegi. Oboje doszli do wniosku, że leżak na hotelowym basenie będzie idealnym miejscem na spędzenie poranka.

Dochodziła godzina dwunasta, słońce na niebie stało już w zenicie, a temperatura dochodziła do trzydziestu stopni. Delikatny wietrzyk chłodził ciało, przynosząc ukojenie. Zarówno Tim, jak i Dario posmarowali się olejkami z wysokim filtrem. Obawiali się, aby ich ciała, nieprzyzwyczajone do upalnego meksykańskiego słońca, nie dostały w pierwszych dniach pobytu zbyt dużej dawki promieniowania. Wówczas wypoczynek zamieniłby się w cierpienie, a tego przecież nie chcieli.

– Nie masz wrażenia, że ziemia drży? – zapytał Dario.

– Wydaje ci się – odpowiedział Tim. – Choć w Meksyku dość często występują trzęsienia ziemi.

Po chwili nastąpił kolejny wyczuwalny wstrząs.

– Faktycznie, to chyba niewielkie trzęsienie ziemi – przyznał.

W pewnym momencie Dario, który miał założone przyciemniane okulary, zauważył dziwny obiekt na niebie.

– Widzisz to? – zapytał, wskazując palcem do góry.

– Co? – Tim wybudził się z drzemki. Zmrużył oczy, przyłożył rękę do czoła i zauważył niewielki świetlisty obiekt na niebie, który był zbyt blisko słońca, aby zobaczyć go wyraźnie bez okularów przeciwsłonecznych.

– Nie masz wrażenia, że to się zbliża? – Dario wstał z leżaka i stanął na brzegu basenu. Mayer podniósł się i dołączył do kolegi. Z niemalym zainteresowaniem obserwowali świecący na niebie punkt. Po kilkunastu sekundach nie mieli już wątpliwości, że spadający obiekt się powiększa.

– Sądysz, że spłonie w atmosferze? – zapytał Tim.

– Mam taką nadzieję – odrzekł zaniepokojony Dario.

Mężczyźni odczekali kolejne dwie minuty, obserwując dziwne zjawisko. W pewnym momencie zauważyli, że obok nich zebrał się spory tłum ludzi. Wszyscy, zamiast wypoczywać przy basenie, gapili się w niebo.

W pewnym momencie wśród zgromadzonych pojawiły się pierwsze okrzyki w języku hiszpańskim.

– On w nas uderzy!

– Nie chce mi się w to wierzyć – powiedział zaskoczony Tim. – Takie rzeczy się nie zdarzają.

– A ja ci mówię, że to zaraz spadnie na ziemię.

– Myślisz?

Turyści obserwujący spadający obiekt nie podzielali optymizmu Szwajcarów. Wpadli w panikę i tratując się nawzajem, ruszyli w stronę hotelu, aby schronić się przed nieuniknioną katastrofą. W popłochu przeciskali się przez drzwi, nie zważając, że jakiś starszy mężczyzna leży w progu i z wielkim mozołem, próbuje się podnieść.

Tim i Dario, choć przez ułamek sekundy liczyli jeszcze, że meteoryt spłonie w ziemskiej atmosferze albo rozbije się na kilkanaście mniejszych kamieni, które nie wyrządzą nikomu krzywdy, dość szybko wzięli przykład z panikującego tłumu i zaczęli biec w stronę budynku. Kątem oka obserwowali, jak obiekt na niebie robi się coraz większy. W pewnym momencie jego blask był tak wielki, że przyćmił nawet palące słońce. Kilkanaście sekund później nastąpiła hekatomba.